ROK II | Marzec 1936 | Nr. 3

WZLOT SERAFICKI

MIESIĘCZNIK



KRAKÓW

OO. KAPUCYNI | LORETAŃSKA 11

TREŚĆ

Uprasza się P. T. Łaskawych Czytelników „Wzlotu Seraficznego”, aby zamiast zwykłej prenumeraty rocznej (nieprzekraczającej kwoty 2 zł. 50 gr.) zaofiarować raczyli jakiś dobrowolny, niewielki datek na nasz nowopowstały „Fundusz Prasowy“.

Redakcja już zgóry wszystkim przyszłym Dobroczyńcom serdecznie dziękuje, załączając dokładny adres:

„Wzlot Seraficki”
OO. Kapucyni — Kraków
ul. Loretańska 11

DRUKARNIA „WZLOTU SERAFICKIEGO” W KRAKOWIE

PRO DOMO SUA...

— Dnia 1 lutego b. r. odbyło się poświęcenie naszej drukarni. Aktu poświęcenia dokonał Przew. O. Prowincjał.

— Rekolekcje przedwielkanocne w naszym kościele krakowskim odbędą się od 3 do 8 kwietnia. Spowiedź św. 7 kwietnia. Nauk rekolekcyjnych udzieli Przew. O. Ludwik.

— W czasie karnawałowym liczne po okolicach nabożeństwa 40-godzinne i rekolekcje opróżniły nasz klasztor prawie zupełnie z księży.

— Dnia 7 stycznia b. r. złożył śluby uroczyste fr. Romuald, 25 lutego fr. Wiesław, a 1 marca br. Bartłomiej. — Szczęść im Boże! —

— Z początkiem kwietnia Wiel. O. Henryk udzieli rekolekcyj studentom naszego Seminarjum w Rozwadowie oraz uczniom Szkoły Handlowej i Przemysłowej w temże mieście.

— Przew. O. Alfons jest obecnie w szpitalu św. Łazarza. Czuje się lepiej. Da Bóg, wkrótce wyzdrowieje zupełnie.

— Przew. O. Konstantemu, Wiel. O. Gabrjelowi, Wiel. O. Kazimierzowi i Wiel. O. Józefowi z okazji przypadających w tym miesiącu Imienin — Ad multos annos!

— Br. Jan-Kanty przechodził w ub. miesiącu dość ciężką operację wyrostka robaczkowego. Dzięki Bogu, operacja się udała.

— Dnia 7 marca b. r. otrzymają w kościele naszym z rąk J. Eks. Ks. Biskupa Dra Stanisława Rosponda święcenia kapłańskie diakoni: fr. Ireneusz, fr. Wojciech i fr. Laurenty. Ponadto ośmiu kleryków 3-ego roku teologji otrzyma święcenia subdiakonatu, a reszta teologów święcenia mniejsze.

— Wiel. O. Anastazy, wiceprefekt naszego Seminarjum Seraf. w Rozwadowie, bawił ostatnio w Krakowie w sprawie wydania pamiątkowej efemerydy z okazji 15-lecia istnienia Kolegjum.

— Wiel. O. Adam, słuchacz wydziału historycznego U. J., szperał przez trzy tygodnie po bibljotekach Prowincji Warszawskiej, poszukując materjałów do pracy magisterskiej na temat: „Udział Kapucynów w powstaniu 63 r.”.

ROK II Marzec 1936 Nr. 3

WZLOT SERAFICKI

MIESIĘCZNIK

REDAGOWANY PRZEZ KLERYKÓW OO. KAPUCYNÓW PROWINCJI KRAKOWSKIEJ

„Wzlot Seraficki“

Przygotowując lutowy numer „Wzlotu“ na własnej maszynie drukarskiej, powzięliśmy myśl, czyby nie czas było rzucić pismo między szersze masy, lecz — jak pisze jeden z Czytelników „Wzlotu“ — „wydając pismo, powinno się dać to, czego sami od innych wymagamy“. Żądanie słuszne, ale narazie trudno nam je zrealizować. Dlatego Przew. O. Prowincjał, po wszechstronnem rozważeniu tej sprawy, postanowił, że „Wzlot“ pozostanie nadal tylko pismem „między-domowem“.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć głęboko przemyślane słowa Przew. O. Prowincjała: „Niech ten „Wzlot“ pozostanie nadal pismem domowem, niech będzie zarówno ćwiczeniem literackiem, jak i szkołą przygotowawczą do innego w przyszłości pisma o szerszym zasięgu. Niech „Wzlot“ ćwiczy i wyrabia pióra na stworzenie skrzydeł dla szybowania kiedyś po szerokich horyzontach religijno-społecznych. Ale to nasze pismo przyszłości — o którem teraz tylko mówimy — musi mieć, i to koniecznie, ideologję seraficką, franciszkańską, dlatego przygotowanie się w pierwszym rzędzie powinno polegać na gruntownem studjowaniu przebogatej literatury franciszkańskiej. Lecz jaki charakter mogłoby mieć w przyszłości nowe pismo, czy ma to być pismo przeznaczone dla szerszego ogółu, czy o wyższym poziomie naukowym? Okaże się to w przyszłości. — W Polsce najbardziej daje się odczuć brak pisma naukowego o podkładzie franciszkańskim, nielepiej wprawdzie przedstawia się sprawa i z pismami popularnemi, ale zawsze jakoś inaczej. Oto jedna z przyczyn niezrozumienia ideologji franciszkańskiej, i co zatem idzie, brak inteligencji, zwłaszcza męskiej, w szeregach III-go Zakonu“.

Pragnieniem tedy naszem jest dać w przyszłości społeczeństwu polskiemu, odpowiedne do poziomu inteligencji pismo, oparte

na ideologji franciszkańskiej. To na przyszłość! Narazie musimy zadowolić się „Wzlotem“, który pozostaje pismem „pro fratribus, benefactoribus, amicis et vicinis nostris“.

Redakcja

„Franciszku, napraw...”

Stoimy w obliczu podstawowych zagadnień. Jesteśmy świadkami dogłębnego przesilenia dotychczasowego światopoglądu. — Bankructwo ideałów, przekazanych nam przez wiek XIX. Dezorjentacja w dziedzinie polityczno-społecznej. Psychoza i nieokreślony lęk przed najbliższem jutrem. Kryzys autorytetu najwyższych instancyj politycznych. Zaufanie w dobrą wolę sąsiada zastąpione zbrojnym pokojem.

Sobkowstwo, oportunizm, ambiwalencja.

Z drugiej jednak strony przeolbrzymi wzrost powagi najwyższego wykładnika katolicyzmu — Watykanu. Coraz szerszy zasięg katolickiej idei społecznej. Postępowa katolicyzacja na najdalszych rubieżach ziemi. A przedewszystkiem duchowe odrodzenie jednostki. Pozytywna rewizja rozkładowego kwietyzmu religijnego. Zrywanie z marazmem, obojętnością. Wspaniały rozwój czynnej Akcji Katolickiej.

Altruizm i radosny, na prawie bożem oparty postęp.

Konkluzja jasna.

Przeżywamy okres realizacji katolickiego światopoglądu w najszerszem tego słowa znaczeniu. — Obecne położenie świata możnaby porównać, z pewnemi zastrzeżeniami, do tego, w jakiem znalazł się Kościół przed wystąpieniem św. Franciszka Serafickiego. I dziś „wali się dom”. Dom świata. A Franciszkiem, który go podeprze, naprawi, ma być Kościół Katolicki, mamy być my. Proces naprawy już rozpoczęty. Zatem do pracy! Obejrzyjmy najpierw w obecnym okresie wielkopostnym fundamenty własnej budowli duchowej. Zapoznajmy się z zasadniczemi wytycznemi katolicyzmu, ukochajmy je i podejmijmy radosną, Franciszkową pracę odnowienia świata.

fr. Fidelis

Kto chce przyczynić się do wielkiego dzieła misyj, polecanego tak gorąco przez Ojca św. Piusa XI, może to uczynić, zbierając zużyte znaczki pocztowe. Poważniejszą ilość zechcą Łaskawi Czytelnicy przesłać na adres Redakcji.

Skarb

Jedną-ć ja tylko mam duszę,
i jeśli tę jedynaczkę utracę,
jakąż odniosę korzyść
lub jaką zyskam płacę...?

Jedną-ć mam jeno duszę
droższą, niż wszechświat cały —
dlatego ponad wszystkie skarby
oczy się moje w niej rozmiłowały.

Toż chciałbym strzec tę kochaną owieczkę,
jak oka własnego w głowie,
by mi jej wilk drapieżny nie pożarł —
w życia lesistym parowie.

I chciałbym ją pielęgnować:
strzyc, czesać, kąpać schludnie,
by w złote porosła runo,
by wykraśniała przecudnie!

I chciałbym ją paść na soczystej
zieleni łąk bujnych, świeżych muraw —
i czuwać nad każdym jej krokiem,
jak nieznużony żóraw...

I chciałbym ją poić w krynicy
żywotodajnej a świętej,
w której się jad żaden nie znajdzie,
ni żadne brudne męty.

Bo jedną mam tylko duszę,
a jeśli tę jedynaczkę utracę —
jakąż odniosę korzyść
lub jaką zyskam płacę? —

X. Y.

ŚP. O. ZENO

Nieodżałowanej pamięci O. Zeno Gorlicki urodził się w r. 1867 w Maniowach, w nowotarskiem, uroczej miejscowości u stóp Tatr. Ojciec jego, Jakób, był jak na tamtejszych mieszkańców dosyć bogaty, miał bowiem trochę gruntu i kawał lasu—rzecz dla górali bardzo łakoma—a nawet on jeden tylko we wsi miał konia i parę wołów jarzmowych. Był to człowiek wierzący, pracowity, zgodny, usłużny, lecz przytem małomówny i dlatego sąsiedzi nazywali go mrukiem. Ale gdy otworzył usta, to mówił o rzeczach mądrych, był bowiem gospodarzem prawdziwie mądrym i bardzo roztropnym, dlatego też gmina obrała go na kilkanaście lat wójtem.

Matka Rozalja, rodem z Ostrowska w powiecie nowotarskim, była to osoba głęboko religijna, praktykująca, czuła na biedę drugich, bardzo pracowita. Mimo nawału pracy musiała być codziennie na Mszy św. Oboje małżonkowie żyli zgodnie, w miłości poważnej, lecz serdecznej. Czasem tylko dla matki uciążliwe było milczenie męża, ale to wynagradzało jej dwoje wesołych dziatek: Rozalja i młodszy od niej o dwa lata Jędruś. Chłopiec, jak każde góralskie dziecko, swawolny, wesoły, uczęszczał codzień z matką do kościoła i chował się na człowieka religijnego i poważnego. Był przytem bardzo zdolny, pilny i chciwy wiedzy, czyli jak mówił nauczyciel - organista i sąsiedzi „ciekawy do książki".

Za namową księdza proboszcza i nauczyciela - organisty oddano go do gimnazjum w Nowym Sączu. Matka co dwa tygodnie chodziła doń pieszo 6 mil, dźwigając na plecach żywność dla syna. Trud się opłacał, bo Jędruś uczył się bardzo dobrze, a nawet był celującym aż do 6-ej klasy włącznie. Lubili go profesorowie, bo oprócz zdolności i pilności posiadał piękny, szlachetny i poważny charakter. —

Na wakacjach matka „rosła", jak mówili maniowscy górale, bo Jędruś chodził codziennie na Mszę św., służył nawet, a po paru rozmowach ks. proboszcz przekonał się, że może mu wynagrodzić brak inteligentnego towarzystwa, zapraszał go przeto chętnie na plebanję. „Rosła" matka, a „mruk" był dumny i zadowolony.

Po szóstej klasie Jędruś, namówiony przez kolegów, przeniósł się do Krakowa. Nieszczęście, czy wola Boża? Pewno to drugie. Tam nowy, nieznany uczeń nie mógł już przodować kolegom. Nie był już celującym, skończył jednak siódmą klasę, a w ósmej Bóg zaczął go ciągnąć niepostrzeżenie ku swej niwie. Przed maturą zachorował. Później musiał pójść, jako że nie miał matury, do wojska. Następnie przygotowywał się sam do matury, by móc pójść na uniwersytet i zostać „panem". Widocznie jednak nie chciał tego Bóg, bo mu krzyżował plany. Jakiś kolega namówił go, by przyjechał do Ameryki, gdzie łatwo dojdzie do majątku. Tak! każdy inny, ale nie Jędrek Gorlicki, który stworzony był tylko do książki, a nie do interesów. Rodzice po wspólnej naradzie zgodzili się

na to i wysłali syna do Ameryki. Co i jak tam było, nikt nie wie, zostało to tajemnicą Jędrka, bo ojciec „mruk” nie wypytywał, a delikatna matka nie chciała robić synowi przykrości swą ciekawością, bo był to już dorosły mężczyzna, pan. Snać jednak były to smutne przeżycia, bo Jędrek z nikim o pobycie i losach swych w Ameryce nie mówił. Dosyć, że pewnego dnia otrzymali Gorliccy od syna list z prośbą, by przysłali mu pieniędzy na powrót do kraju, jeżeli chcą go jeszcze widzieć żywym, bo nędza go gniecie, a Ameryka z bogactwami swemi nie dla niego.

Na trzeciej, poważnej naradzie postanowili rodzice sprzedać konia i woły, których już nigdy nie nabyli nanowo, by sprowadzić syna do kraju. Stało się, jak uradzono, bo Jakób „pary” nadarmo z ust nie puszczał. Wkrótce zjawił się syn w domu zbiedzony, wynędzniały, ale kochany, bo jedynak, zdolny, dobry, no, i „pan”. Znów zaczął się przygotowywać do matury, ale 6-letnia przerwa (choroba, 3 lata przy wojsku, 2 lata w Ameryce) utrudniała pracę, a w domu okazały się braki pieniężne, ponieważ siostra wyszła zamąż, majątek był podzielony a lat przybywało. By zdobyć nieco grosza, potrzebnego na dalsze studja, wstąpił do Straży Skarbowej, został nawet respicjentem i mógł tam, przy ogólnem zadowoleniu przełożonych z jego pracy, zdobyć uczciwe i dostatnie utrzymanie, wciąż jednak czuł się niespokojnym, jakiś głos wołał go gdzieindziej. W roku 1898 występuje ze Straży Skarbowej, wraca do rodziców i przygotowuje się do tej upragnionej matury. Uczęszcza codzień na Mszę św., nikogo nie odwiedza, choć dla każdego bardzo uprzejmy, staje się samotnikiem, wychodząc tylko z książką na łąki lub nad Dunajec.

1 lipca po odprawieniu w Maniowach misyj dla niewiast, zaczęli OO. Kapucyni, śp. O. Letus Ziemliński i O. Tomasz Górski, misje dla mężczyzn. Osobiście uczęszczałem na nie codziennie i widywałem p. Andrzeja Gorlickiego. Był to mężczyzna przystojny, pięknie ubrany, z zegarkiem. Z podziwem patrzyłem na jego piękną postać, zginającą się pokornie przed Panem wespół z wieśniakami. W zakrystji zaczęła się nasza znajomość: 17-letni student z 31-letnim panem. Po misjach chodziliśmy codziennie na przechadzki i do kąpieli, gdzie był zawsze ostrożny i skromny. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, on poważnie i pouczająco w sprawach poważnych np. o przedmiotach szkolnych, wyrozumiale i delikatnie zwracając mi uwagę, gdym zdradził w rozmowie swój niedojrzały wiek. Za pośrednictwem O. Letusa otrzymałem przyjęcie do Zakonu OO. Kapucynów. Bywało, że bałem się swego zamiaru, gdyż byłem człowiekiem świeckim, ze światowemi aspiracjami: Stanowisko, wygoda życia, swoboda, wolność. Wyznałem to p. Andrzejowi. On zawsze pochwalał mój zamiar, pochwalał życie zakonne, i kto wie, czy to nie jego zasługa, żem wytrwał w zamiarach i został kapucynem. Ale też i p. Gorlicki po misjach i mojem przyjęciu do Zakonu zmienił się niezmiernie. Uczył się, przechadzał ze mną, a pozatem dumał, tarł rękoma czoło, wzdychał. Z jego późniejszych losów poznaję, że Bóg go łamał, wołał,

a on się kruszył i zastanawiał. W nocy miewał sny niespokojne, rzucał się, wstawał; we dnie milczał i stawał się podobnym ojcu „mrukiem". Matka troskliwa, czuwała niespostrzeżenie, nie rozumiejąc, coby to być mogło, skarżyła się z obawą: „Oby też mój Jędruś nie zwarjował, coś się z nim dziwnego dzieje". Obawy jej powiększała niechęć ojca, że syn w 31 r. życia jest jeszcze na łasce rodziców, a nie „panem". Na co się przydały wydatki na szkoły, na co zdolności!

21 sierpnia wyjeżdżałem do Sędziszowa do nowicjatu. Oczywiście pożegnałem się i z p. Gorlickim. Życzył mi dużo, a wkońcu rzekł „dowidzenia". Zdawkowe u innych, minęło mi to słowo mimo uszu. Niepokoje p. Andrzeja trwały w dalszym ciągu, a wiem o nich od mojej kochanej matki, która była powiernicą i doradczynią Gorlickiej. Tak było do grudnia. Pewnego poranku grudniowego mówi: — Mamo, ja jadę! — Gdzie, synu? — Gdzie Bóg da! Za parę tygodni doniosę wam, co się ze mną dzieje. Pojechał w nieznane, a matka płakała, wzdychała u stóp ołtarzy Najśw. Sakramentu i N. M. Panny, polecając syna najpewniejszej opiece.

C. d. n.

O. Jerzy (Rzym)

MŁODOŚĆ ŚW. FRANCISZKA

C. d.

Przystępując do odpowiedzi na dowody Wiel. O. Gracjana co do jego tezy, musimy zwrócić główną uwagę na T. Celano i określić prawdziwe znaczenie jego słów, któremi charakteryzuje młodość św. O. Franciszka. Obie bowiem Legendy T. Celano miały wielki wpływ na wywołanie tej podwójnej opinji o — grzesznej względnie bezgrzesznej — młodości Założyciela Braci Mniejszych. Dlatego też poddamy krytycznej analizie tekst I Legendy tak co do jej formy zewnętrznej, jak i co do treści; następnie zaś zajmiemy się psychologją T. Celano.

Wszyscy krytycy twierdzą jednozgodnie, że styl I Legendy T. Celano jest kwiecisty i obrazowy. Autorowi, jakkolwiek chce stworzyć historję, brak dokładności i prostoty historyka. Spotykamy tam, jak dobrze zauważa O. Fredegand, wszystkie sposoby „artis dictandi" owego czasu; a więc często gra słów, deklamacja, przeciwstawienia, porównania, zapytania, żywe obrazy, uroczyste okresy, liczne teksty biblijne i klasyczne, tak ściśle ze sobą powiązane, że trudno odnaleźć pierwotną ich formę. Ojcowie

z Quaracchi, w ostatniem krytycznem wydaniu I Legendy w trzech pierwszych paragrafach[1]) (o te nam tu właśnie chodzi), zdołali odkryć aż 28 cytatów z Pisma św., oprócz aluzyj do dzieł Seneki, Juvenalisa, św. Augustyna i św. Grzegorza. Jest to kompozycja literacka bardzo ciekawa. Każde prawie zdanie składa się z dwu lub więcej wyrażeń różnych autorów, terminy są zwykle mocne i jaskrawe. Nic dziwnego, chodzi tu o czołowy rozdział, który wprowadza czytelnika do całego dzieła; autor, używając słów natchnionych, chciał nadać uroczysty ton swemu opowiadaniu. Zaczyna uroczyście słowami Joba: „Vir erat in *civitate Assisii* nomine *Franciscus*..."

Oprócz poety i mówcy T. Celano gra również rolę moralizatora. W tym celu także wyzyskuje każdy epizod nieraz aż do znudzenia. Świadczy o tem tekst I Cel. n. 2. Sama więc strona literacka dzieła powinna zwrócić uwagę krytyka, a krytyk powinien się mieć na baczności, skoro się zabiera do tłumaczenia myśli autora.

Teraz wejdźmy w treść samego opowiadania, jakie się znajduje w I Cel. n. 1—3. Biograf, po przedstawieniu opłakanego stanu ówczesnego wychowania, przystępuje do opisu młodości Franciszka. Franciszek jest to młodzian chętnie bawiący się wśród rówieśników; owszem stoi na ich czele, młodzian wesoły, żywy, pragnący sławy, lubiący naturę, śpiewy i bogate suknie, przytem ogromnie ofiarny, szlachetny, pełen rycerskich ideałów, podziwiają go wszyscy — „admirationi omnibus erat". Czytając wstęp, przedstawiający rzeczy tak pesymistycznie, spodziewaliśmy się, że gdy autor przejdzie do szczegółów, sprawa wypadnie jeszcze gorzej. Spotkał nas jednak zawód. Postać Franciszka, mimo pewnych niedociągnięć naturalnych swego charakteru, jest dla nas sympatyczna, owszem podziwiamy go, jak niegdyś podziwiali mieszkańcy Asyża. Żaden moralista a nawet mistyk, czytając opowiadanie T. Celano, nie zdecyduje się nazwać życia Franciszka grzesznem lub — przypisać mu przynajmniej jeden ciężki upadek.

Wprawdzie znajdujemy tam kilka wyrażeń surowszych, a mianowicie, że prawie 25 lat swego życia stracił Franciszek nędznie, że był próżny i swobodny w słowach, lecz są to określenia zbyt ogólne, krytyk zaś szuka faktów. Nic konkretnego nie możemy znaleźć, ani u Celano, ani w żadnem innem współczesnem źródle, by usprawiedliwić twierdzenie lub raczej tłumaczenie O. Gracjana. Chcąc wydać sąd objektywny, koniecznem jest zawsze brać słowa w świetle faktów, inaczej zbłądzimy w naszych wnioskach. Słusznie więc robią uwagę w tym względzie wydawcy I Legendy: „Trzeba dobrze ważyć słowa, które nam nie podają faktów, lecz raczej

[1]) Legenda I T. Celano, czyli Żywot pierwszy św. Franciszka, składa się z trzech pomniejszych dziełek czyli części, oprócz wstępu i zakończenia. Całość dzieli się na rozdziały i paragrafy. Wszystkich rozdziałów jest XLVI, paragrafów 151. Pierwsza część obejmuje rozdz. I—XXX i traktuje o życiu św. Franciszka w całym jego rozwoju, począwszy od młodości; druga rozdz. XXXI—XL o ostatnich dwóch latach życia i błogosławionej śmierci św. Franciszka; trzecia rozdz. XLI—XLVI o kanonizacji i cudach św. Franciszka.

mówią o pokusach młodzieńczego wieku" [1]). Zresztą całe opowiadanie T. Celano nie każe brać słów inaczej, jak tylko w znaczeniu szerokiem. Któż może twierdzić, że świadectwo o wychowaniu dziatwy i młodzieży ze strony rodziców odpowiada prawdzie? — Opowiada nam autor rzeczy niesłyszane w całej historji ludzkości. Możemy więc powtórzyć za O. Fredegandem, że znajdujemy się tu wobec prawdziwej kompozycji literackiej, a autor ma na celu zwrócić uwagę rodziców na niebezpieczeństwo złego wychowania dzieci. Jest to wykład moralny, w którym zatem nie możemy szukać konkretnego opisu dekadencji moralnej Asyża w owym czasie, a tem mniej dokładnego obrazu młodości Serafickiego naszego Ojca [2]).

Powyższym szeregiem uwag krytycznych określiliśmy prawdziwe znacznie I Legendy o ile nam opisuje młodość św. Franciszka. Teraz nasuwa się o wiele ważniejsze pytanie: Dlaczego T. Celano wogóle na takiem tle przedstawia św. Franciszka i, mówiąc o jego młodości, używa słów, które od samego początku wielu swym czytelnikom dały okazję do złych sądów; dlaczego w celu pouczenia innych, jakkolwiek w sobie wzniosłym, poświęca autor nieskazitelność postaci Ukochanego Ojca. Sama strona literacka i moralizatorska nie usprawiedliwiają tego rodzaju pociągnięcia. Odpowiedzi na to musimy szukać w stanie psychologicznym autora, kiedy pisał pierwszą Legendę.

Jesteśmy w r. 1228. Grzegorz IX opuszcza Rzym i udaje się do Asyża, by dokonać wielkiego aktu kanonizacji bł. O. Franciszka. Wtedy to właśnie na polecenie papieża Tomasz z Celano zabiera się do napisania żywotu św. Patrjarchy. Dzieło swe doprowadził do końca jeszcze tego samego roku. Cała więc praca trwała zaledwie kilka miesięcy. [3]) Lecz jakież to były miesiące. „Słońce asyskie", po spokojnym zachodzie 3 paźdz. 1226 roku, wschodziło na nowo pośród braci, pośród ludu, pośród całego Kościoła z blaskiem dotąd nigdy jeszcze nieoglądanym. Głośne, ustawicznie powtarzające się cuda [4]), najwyższy autorytet papieża, który ogłasza Franciszka świętym i bullą wydaną przy tej okazji daje znać o tym akcie całemu światu [5]), tłumy pobożne cisnące się bez przestanku do grobu Biedaczyny [6]), były to rzeczy, które poruszały do głębi wszystkich braci [7]). Postać Franciszka rosła w oczach i to w tak gigantyczny sposób, że dawała się porównać z Panem Jezusem, znaki czego widzieli bracia w świętych stygmatach. Tomasz Celano, powróciwszy codopiero z Niemiec (1228 r.), tembardziej był olśniony chwałą Serafickiego Ojca i entuzjazmem współbraci, dlatego myśli, widzi, sądzi według ducha chwili. Dla niego uwielbiony Ojciec Franciszek jest kolosem. W tym stanie duchowym, w takich okolicznościach Celano wykonuje plan I Legendy. Zaczyna od młodości, lecz czemże jest dla niego młodość św. Fran-

[1]) Anal. Franc. X. 1926, r. 7, nota 13. [2]) Cfr. art. cyt., str. 285.
[3]) Analecta Franciscana, T. X. p. IV. [4]) I Celano, 127—51.
[5]) I Celano 122—26. [6]) I Celano, 119—21. [7]) Cfr. Epistola fratris Eliae ad ministros, die, 4 oct. 1226, apud Boehmer, Analekten p. 90—2.

ciszka wobec ostatnich jego lat ekstatycznych i dzisiejszej aureoli świętości? Jest to czas stracony, zmarnowany, grzeszny. Celano użyje całej swej siły oratorskiej, by uwypuklić przeciwieństwo między temi dwoma perjodami: „Człowiek ten, którego dziś czcimy jako świętego, boć i naprawdę świętym jest, nędznie stracił i zmarnował 25 lat życia swojego...” [1]). Autor zatem nie widzi tu rzeczywistości i nie może jej widzieć, jako ten, który będąc w centrum światła, wszystko, co jest poza jego obrębem, widzi w ciemnościach.

Nie w innem świetle oglądał swą młodość Franciszek, kiedy dyktował swój „Testament”. I jakże mogło być inaczej? On, któremu danem było wniknąć w tajemnice Ewangelji i żyć niemi — On, co duszą i ciałem dosięgał boskości, czyż mógł bez potępienia myśleć o swych rozprószonych latach młodzieńczych? Był to dla niego czas zapomnienia, grzechów, podczas gdy każdy moment mógł poświęcić swym ideałom. Nie jest to tylko przypuszczenie, lecz fakt. Każdy z nas musiałby to samo powtórzyć, patrząc na rzecz okiem wiary. Cóż zatem mówić o Franciszku, którego wiara o wiele żywszą i głębszą była niż nasza. Że tak jest, posłuchajmy co nam mówi Celano[2]): Franciszek znajduje się u schyłku życia, ogień miłości Bożej go spala, a on powtarza: „Bracia, zacznijmy służyć Panu, bo dotąd nic albo prawie nic dobrego nie uczyniliśmy”. Jeśli całe życie swoje tak określa Franciszek, to młodości swej nie może inaczej nazwać, jak tylko grzeszną — „a ja, gdy byłem w grzechach...” [3])

Celano, kiedy kreśli młodość Franciszka, kieruje się tym samym duchem Serafickiego Ojca; widzi ją w tem samem świetle, osądza ją według tej samej miary, potępia temi samemi Franciszkowemi słowami.[4])

Argument ten jest dla nas podstawowy, bo nietylko razem z innemi broni naszej opinji, co do młodości św. O. Franciszka, ale i tłumaczy doskonale Tomasza Celano. Dziwnem jest tylko, że O. Fredegand nie starał się rozwinąć powyższego dowodu (jakaś wzmianka jest) i zadowolił się rozpatrzeniem głównie strony literackiej Celano. Podaje nam jednakowoż inny argument, psychologiczny, a mianowicie, że z młodzieńca występnego nie mógł stać się tak wielki święty, jakim był Franciszek. Szlachetność uczuć, jaką zauważamy już w młodości, nie godzi się z występkiem. Jest to dobra uwaga, która każe nam z większą krytyką brać słowa Celano, jednakowoż niezupełnie broni św. Franciszka, a już w żaden sposób nie tłumaczy, dlaczego biograf w ten sposób mógł przedstawić młodość Serafickiego Ojca [5]).

---

[1]) I Celano, 2. [2]) I Celano, 103. [3]) Testament św. O. Franciszka.

[4]) Powyższe uwagi, które się odnoszą głównie do pierwszych paragrafów Legendy Celano, nie osłabiają w niczem znaczenia jego dzieła. Obie Legendy Celano to dwa najcenniejsze dokumenty franciszkańskie. W pierwszej bowiem umieścił to, „co sam słyszał z ust bł. Ojca Franciszka” i „co od wiarogodnych świadków się dowiedział” (I Cel. Prologos). Druga Legenda opiera się na tem, co napisali „Trzej Towarzysze” św. Franciszka koło 1244 r. Celano o ile nam podaje fakty jest najwiarogodniejszy. Trzeba go tylko znać i umieć tłumaczyć.

[5]) Art. w „Italia Franc.” 1926, p. 290—2.

Co do O. Gracjana musimy zaznaczyć, że najpierw bierze słowa Celano w znaczeniu czysto literalnem, pomijając zupełnie osobistość autora I Legendy. Następnie, jak się nam zdaje, O. Gracjan pozwolił się kierować otoczeniem nowoczesnem swego miasta, gdzie żyje. Widzi Franciszka w Asyżu w XX wieku. Nie przeczymy, że młodzieniec naszych czasów, żyjący lekkomyślnie, bez Boga, mógłby być dobrze scharakteryzowany słowami I Legendy Celano 1—3, nawet w ich materjalnem brzmieniu. Lecz my musimy się przenieść do Asyża, miasteczka kilkutysięcznego. Czyż nie wypada zatem tamecznych młodzieńców porównać raczej z młodzieżą zdrową, choć nieraz rozprószoną, naszych zacisznych wiosek, niżeli szukać środowiska, które bynajmniej nie odpowiada Asyżowi w okresie św. Franciszka.

Wobec powyższych uwag i sprostowań zdaje się nam, że możemy zawyrokować, iż Wiel. O. Gracjan w naszym wypadku źle zrozumiał Celano, skąd jego teza zostaje bez oparcia.

C. d. n.

Krucyfiks

W półmrocznej nawie
Przy bocznym ołtarzu,
Chrystus na krzyżu rozciągnął ramiona.
Głowa Chrystusa niewidoczna prawie,
Mrok — boczny ołtarz,
Cisza w ciemnej nawie.
Patrz... tam na krzyżu Zbawca świata kona...!

Klęknij na chwilę...
Spójrz w to oblicze!
Wiele nań bólu, cierpienia zostało.
Grzechami świata wciąż grzeban w mogile —
Cierpi nad wyraz...
Wzniósł głowę na chwilę —
To miraż... Szepcze: „Już się dokonało..."

H. P.

Na dzień św. Józefa



Do dni świątecznych, które Kościół polecił wiernym obchodzić jako obowiązujące, należy również dzień św. Józefa [1]). Rola bowiem, jaką Opatrzność wyznaczyła temu Mężowi w ekonomji zbawienia ludzkości, uprawnia go do odbierania czci publicznej całego świata. Wszak był ojcem przybranym Syna Bożego i dziewiczym oblubieńcem Bogarodzicy. A to już daje wystarczające wyobrażenie o jego godności, świętości oraz o szczególnej opiece, jaką otacza cały Kościół powszechny. Stąd owo wielkie zaufanie, jakiem się cieszy u wszystkich katolików. Nikt na ziemi poza Matką Najśw. nie piastował wyższej godności, niż św. Józef. Będąc bowiem głową Świętej Rodziny, dzierżył nad nią autorytet samego Boga i reprezentował Jego ojcowską władzę.

W jakiż zaś sposób spełniał św. Józef tę władzę nad swym przybranym Synem? Oto musiał najpierw ponosić wszystkie ciężary, które prawo Mojżeszowe nakładało na rodziców względem ich dzieci. W świetle bowiem tego prawa uchodził św. Józef za rzeczywistego ojca Jezusa. I słusznie. Wszak każde prawo uważa za prawowitego ojca dziecięcia tego, na kogo wskazuje małżeństwo. Nie trzeba chyba jednak udowadniać, że Józef bynajmniej nie był ojcem Jezusa w powszedniem tego słowa znaczeniu. Zresztą spełniał św. Józef swe obowiązki jak każdy ojciec przyrodzony i swą codzienną, ręczną pracą zarabiał na materjalne utrzymanie Jezusa. Biorąc następnie pod uwagę, że był oblubieńcem Przeczystej Dziewicy, że wiedział doskonale, kim jest narodzone z Niej Dziecię, i jakie na niego spadły obowiązki względem tych dwóch istot, staje się odrazu zrozumiałem, że życie jego, pozornie zwyczajne, nie różniące się od życia innych ojców ziemskich, musiało

[1]) W Polsce obchodzi się jako obowiązujące święto dzień 2 lutego zamiast św. Józefa.

jednak posiadać treść o wiele głębszą — jaśnieć świętością. A świętość ta tak była wielka, jak wielkim i zaszczytnym był obowiązek, który przypadł św. Józefowi w udziale.

Kościół katolicki uznawał zawsze i cenił wielką godność i świętość Oblubieńca Marji i wierzył, że jak ongiś czuwał nad ową maleńką społecznością, jaką była Nazaretańska Rodzina, tak i dziś spełnia rolę opiekuna nad całym Kościołem powszechnym.

W ciągu wieków szczególnymi propagatorami kultu św. Józefa byli: św. Bernard, św. Teresa Wielka, św. Franciszek Salezy, św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Gerson. Grzegorz XV polecił w r. 1621, by wszędzie obchodzono dzień św. Józefa, a Benedykt XIII włączył w 1729 r. imię św. Józefa do litanji Wszystkich Świętych. Wreszcie Pius IX w dniu Niepokalanego Poczęcia P. M. w 1870 r., gdy nad Rzymem srożyły się „Młode Włochy", ogłosił św. Józefa patronem całego Kościoła. Ogólnie czci się św. Józefa jako wzór pracy, należałoby zatem zastanowić się, czem jest praca, jakie jest jej znaczenie wychowawcze w życiu jednostki.

Zdawałoby się, że wiek XX, „wiek pracy", osiągnął już najwyższy stopień zrozumienia jej doniosłości i tak się napracował, że pracy już dla wielu zabrakło — i stąd te rzesze bezrobotnych. A jednak, wejrzawszy głębiej w psychologję pracy, nasuwa się wniosek, że pracy właściwie nie powinno nigdy zabraknąć. Istnieje też garstka ludzi, którzy, pomimo, że ich zredukowano z kopalń, z hut, z kancelaryj urzędniczych lub z katedr nauczycielskich, nie narzekają, że są bezrobotni.

Ogólnie uważa się pracę tylko za czynnik gospodarczy, za coś, co jest warunkiem materjalnego bytu. I istotnie! Z drugiej jednak strony, praca to nietylko przymus, ale przedewszystkiem wartość moralna. To czynnik wychowawczy, który czyni z człowieka albo silnie zarysowaną indywidualność, albo człowieka bez swoistych cech indywidualnych, czyli bez silnego, trwałego charakteru. A że takie właśnie charaktery stanowią większość, nic dziwnego, że pojawiają się błędne kierunki nawet między tymi, którzy zajmują się „chrześcijańską pracą społeczną". Błąd leży w tem, że do pracy zbiorowej, dokonywanej przed oblicznością społeczeństwa, przystępuje się bez uprzedniego przyswojenia sobie sztuki pracowania, że pracownik unika własnego sumienia, gdzie aktywność ludzka ma za nauczyciela najwyższego pracodawcę — Boga.

A cóż nadaje wartość tej pracy cichej, nieznanej nikomu, nie zbierającej oklasków od zewnątrz? Otóż zakreślenie sobie jaknajszerszej intencji, która spełnia każdą pracę, nawet tę, która wy-

maga najniższego wysiłku, na chwałę Boga... I w takim jedynie wypadku można mówić o pracy skutecznej, o pracowniku doskonałym na wzór św. Józefa, który prace swoje spełniał bezpośrednio przed obliczem Boga i dla Niego jedynie. Taki jedynie pogląd na pracę zdolny jest wyjednać dla każdego jej rodzaju należyte poszanowanie, bez względu na to, czy ową pracą będzie zamiatanie ulicy, czy coś innego. Wszak i codzienne zabiegi, choć monotonne, mają swoją bogatą treść wewnętrzną. Wszak istnieje ktoś, kto prowadzi ewidencję naszych spraw, „by oddać każdemu według uczynków jego". Takie podniesienie pracy na stopień wyższy jest zarazem uszlachetnieniem całej istoty człowieczej. Jeżeli się bowiem posiada przeświadczenie, że każdą sprawę czyni się dla Boga, dołoży się wszelkich możliwych wysiłków, by ta praca wypadła jaknajlepiej. Człowiek nabiera hartu woli, wzmaga się w nim poczucie obowiązku i odpowiedzialności. I chociażby te obowiązki były bardzo monotonne, z dnia na dzień te same, nie wzbudzą nigdy odrazy, ale owszem głęboką radość, że każdy, chociażby nieskończoną ilość razy powtórzony, wysiłek jest nowem zwycięstwem woli.

Ktoś, kto w ten sposób pojmował radość i zadowolenie z życia, tak się wyraził: „Gdybyś wiedział, jaka to rozkosz prowadzić życie uczciwego człowieka, kłaść się do snu po długim dniu pracy i wstawać wraz ze słońcem — na drugi dzień podobny..." I takich właśnie ludzi, którzy przyswoili sobie doskonałą metodę pracy, można i powinno się wciągać do prac społecznych. Wszak to tak jasne. Wszak tylko taka praca ma najwyższą, potrójną wartość: jest zasługująca na życie wieczne, wyrabia silne charaktery i będzie technicznie dobrze wykonana. A przecież o to głównie powinno chodzić w pracach społecznych — o to, by „gospodarstwo zewnętrzne" miało swój podkład w „gospodarstwie wewnętrznem" tych, którzy się do nich garną, bez względu na to, czy są pracodawcami lub pracownikami.

Dziś obserwujemy coś wprost przeciwnego. Zewsząd, aż do znudzenia, słychać nawoływania do stworzenia „chrześcijańskiego czynu", do zapoczątkowania „nowej ziemi" na tle chrześcijańskiem, a zapomina się, że przedewszystkiem należy przygotować odpowiednio urobione jednostki, wyrobić w działaczach polityczno-społecznych czynnik duchowo-obyczajowy, zwłaszcza gdy chodzi o chrześcijańskie pojmowanie pracy.

Wartoby się zastanowić nad poruszonemi zagadnieniami w dniu świętego Pracownika z Nazaretu.

Z niwy misyjnej w Estonji

Estonja posiada 1 124 000 mieszkańców, z tego zaś około 2 000 katolików, którymi w przeważającej liczbie są Polacy. Po Polakach idą Niemcy, Litwini, Estończycy, Łotysze i Rosjanie. W chwili ogłoszenia Estonji państwem niepodległem istniały tu 3 parafje: Tallin, Tartu i Narva, oraz jedna ekspozytura w Valga, które niegdyś należały do diecezji Mohylewskiej. — Już w pierwszych latach niepodległości Estonji utworzono niezawisłą administraturę Apostolską z siedzibą w Tallinie. Do roku 1931 miała administratura apostolska tylko dwóch kapłanów, mianowicie: Administratora Apostolskiego S. J. w Tallinie i jeszcze drugiego O. Jezuitę w Tartu. Dnia 6 sierpnia 1931 r. przyjeżdżają do Estonji OO. Kapucyni. Przyjechało dwóch kapłanów i jeden brat z Prowincji Bawarskiej oraz jeden kapłan z Prowincji Krakowskiej. [1])

Ludność tutejsza patrzyła na nas Kapucynów zdziwionem okiem, zwłaszcza ci, którzy wiedzieli, że jesteśmy katolickimi kapłanami, bo inni, biorąc nas spowodu brody za rosyjskich batjuszków, których tutaj jest niemało, spoglądali na nas z pogardą. Brody też przysparzały nam wiele trudności nawet z katolikami, którzy „takich księży” nigdy nie widzieli. Np. jedna 90-letnia staruszka, w przytułku dla starców w Narvie, sądząc, że jestem rosyjskim batjuszką i że podstępnie chcę ją nawrócić na prawosławie, nie chciała się spowiadać i nie pomogły żadne perswazje. Dopiero później, niestety już po okresie wielkanocnym, widocznie uświadomiona przez innych, uznała mię za kapłana rzymsko-katolickiego i chętnie się wyspowiadała. — Dziś, po upływie 4 lat, znają nas już wszyscy katolicy i prawie wszyscy niekatolicy, przynajmniej po miastach. A jeżeli jeszcze czasem Estończyk, widząc kapucyna, zawoła: Vene pop! — rosyjski pop, — to inny, słysząc to, prostuje: Ei de! — nie! — Otóż brodaci kapucyni wjechali wszyscy, jakkolwiek nie równocześnie, do samego serca Estonji, do Tartu.

Tartu — sławne miasto uniwersyteckie, pięknie położone nad rzeką Ema z ruinami katolickiej katedry biskupiej w pośrodku i ślicznemi parkami, sprawia bardzo miłe wrażenie. Z dawnych kościołów katolickich zachowało się dwa — obydwa w rękach protestanckich. — Niedaleko od ruin katedry katolickiej, między

[1]) Sam Wiel. Autor powyższego artykułu, (dop. Red.).

dwoma parkami, wznosi się ładny, obecny kościół katolicki, zbudowany przed wojną światową. Przy kościele jest drewniana, piętrowa plebanja i mały, bardzo przyjemny ogródek.

W chwili naszego przybycia O. Jezuity nie było, wyjechał do Narvy z nabożeństwem. Jednak zarządzająca domem gospodyni, uprzedzona o naszym przyjeździe, przyjęła nas gościnnie i rozlokowała. Za parę dni O. Jezuita powróciwszy z Narvy, wprowadził w urzędowanie naszego O. Superiora na stanowisko proboszcza w Tartu, poczem odjechał na stałe do Tallinu. O. Superior wraz z drugim Ojcem i Bratem zabrali się niezwłocznie do urządzenia domu po zakonnemu, mnie zaś polecono wyjechać do Valga.

Valga — miasto graniczne, podzielone na część estońską i łotewską, nie posiada osobliwości. Kościół katolicki, zbudowany przed wojną światową staraniem polskich kolejarzy, jest dość duży i ładny, ale niewykończony, gdyż brakuje wieży i zakrystji. Plebanji niema. Mieszkanie dla kapłana, złożone z pokoju i kuchni, wynajęto w sąsiednim domu, na poddaszu. Ponieważ nie było żadnej obsługi, trzeba było samemu starać się o pożywienie. Gotowałem więc na „prymusie" naprzemian herbatę i kawę, jaja i kaszę, a raz nawet zgotowałem chlebową zupę, która mi, niestety, nie smakowała. W chwilach wolnych od zajęć kulinarnych odwiedzałem tutejszych katolików, ale spowodu nieznajomości języków nie ze wszystkimi mogłem się porozumieć. — Z Valga wyjeżdżałem w celu odprawiania nabożeństw: do Petseri, siedziby prawosławnego biskupa, gdzie się też znajduje duży prawosławny klasztor, do Pärnu, miasta portowego w zatoce Ryskiej i do Viljandi, powiatowego miasta w środku Estonji. We wszystkich tych miejscowościach mieszka po kilka lub kilkanaście rodzin katolickich, które obsługuje kapłan przyjeżdżający parę razy do roku z Tartu lub Tallinu. Obecnie Pärnu i Petseri mają już swojego kapłana; nasz O. Łucjan rezyduje w Petseri.

Na owych podróżach, odwiedzaniu katolików w Valga i zajęciach kuchennych, upłynęło dwa tygodnie, po których otrzymałem pismo od O. Superjora z doniesieniem, że mam jechać do Narvy na stałe, ponieważ Ojciec z Prowincji Belgijskiej przeznaczony dla Narvy, dotąd nie przyjechał i niewiadomo kiedy przyjedzie. Pakuję więc manatki i w drogę. Po drodze wstępuję do Tartu, gdzie zasięgam bliższej informacji, a także dowiaduję się, że najpierw mam jechać do Tallinu z kazaniem polskiem. Tego samego dnia nadaję swoje rzeczy do Narvy, a sam udaję się do Tallinu.

Tallin — stolica Estonji, jest to prześliczne miasto, chociaż

niewielkie, ale pełne majestatu dla swoich średniowiecznych bram, baszt i obronnych murów, zachowanych prawie w całości. Uroku dodaje szumiące u stóp miasta morze, wspaniałe parki i ładne, stylowe budowle. Z dawnych kościołów katolickich trzy stoją niezniszczone i znajdują się w rękach protestantów. — Obecny kościół katolicki, to dawny, wielki refektarz dominikański, (kościół klasztorny znajduje się w rękach prywatnych, zamieniony na skład). Obecny kościół do ładnych nie należy. Obok kościoła znajduje się dwupiętrowa, duża plebanja, gdzie mieszka ks. Administrator apost. Ks. Administrator apostolski, człowiek bardzo miły, przyjął mnie łaskawie i gościnnie i dał wiele instrukcyj tyczących się Narvy. Na drugi dzień, po wygłoszeniu kazania i odprawieniu nieszporów, wybrałem się w dalszą drogę do Narvy.

Narva — stare miasto, pamiętające Hanzę — położone nad rzeką tej samej nazwy, sławne z wielkich tekstylnych fabryk, zbudowanych przy wodospadzie, i drogie Estończykom, jak Francuzom Verdun — czyni ciekawe wrażenie. Ciekawe dlatego, że miasto wielkie, a ludności niewiele, zaledwie 23 000. Przed wojną światową w samych fabrykach pracowało około 15 000 robotników, dziś liczba robotników dochodzi do 5 000. Toteż wiele domów stoi pustką, a miasto ożywia się tylko wtedy, gdy się coś nadzwyczajnego wydarzy. W samym środku miasta stoi dawny kościół katolicki, własność Franciszkanów (których? — niewiadomo!), dziś zamieniony na katedrę prawosławną. Oprócz tego kościoła jest jeszcze 8 większych i mniejszych schizmatyckich cerkwi. Nadto miasto posiada 4 kościoły protestanckie i niezliczoną ilość rozmaitych bóżnic sekciarskich. Dzisiejszy, nowy kościół katolicki, największy z obecnych kościołów katolickich w Estonji, jest piękny tak wewnątrz jak i zewnątrz, a jednakowoż położenie jego poza centrum miasta, nie jest zupełnie pomyślne, ponieważ większość katolików mieszka przy fabrykach, zatem w przeciwnej stronie miasta. Obok kościoła katolickiego wznosi się plebanja piętrowa, wspaniała i obszerna, w której oprócz mieszkania proboszcza jest jeszcze 5 innych, dużych mieszkań. Mieszkania te wynajmuje się, ale niestety, wynajem ów nie przynosi żadnego czystego dochodu, gdyż czynsz, ze względu na wielkę ilość pustych mieszkań w mieście, jest bardzo niski i ledwie na wydatki zwyczajne wystarcza. Oprócz kościoła katolic., łacińskiego obrządku, jest tu także kaplica katolicka obrządku wschodniego, przy której pracuje O. Kapucyn, Holender.

C. d. n.

Parę słów o Gutenbergu i jego dziele

Ciąg dalszy

2. Dzieło Gutenberga

Rozmiłowanemu w naukach, zniewieściałemu Asurbanipalowi pod sankcją kary śmierci przepiszą magowie Babilonji wciągu lat dwunastu na glinianych tabliczkach całe, kapłańskie przy świątyniach księgozbiory. Ptolomeusz poświęci olbrzymie dochody na cele swej bibljoteki (ok. r. 300 a. Chr.), zaprzągając jednocześnie do pracy przepisywania dziesiątki niewolników. Niespełna trzy wieki później doczeka się godnych naśladowców celu i środka w Asinusie Pollionie i oświeconym Mecenasie; imię ostatniego stanie się na długie czasy przydomkiem bogatych opiekunów kultury i sztuki. W wiekach średnich w Europie zachodniej mozolić się będzie nad ratowaniem nauki mnich reguły św. Benedykta. „Ilość przepisanych liter wielkiej księgi — tej prawdziwej lampadis vitae — przeważy ciężar jego win na ostatecznym sądzie”.

Mimo takie wysiłki, mimo prace setek przepisywaczy dla nielicznych uczonych, wiele dzieł pisarzy kościelnych i świeckich, trzymanych zazdrośnie w unikatach lub nielicznych kopjach zaginie bez śladu. Rzeczy dawno odkryte i udowodnione długo czekać będą na swych „koperników”.

Gutenberg stając z drukiem przy pulpicie pochylonego nad inkunabułami mnicha, zwolni zapracowanego zakonnika od żmudnej pisaniny, dając mu możność twórczej pracy choćby przez poszerzenie własnej wiedzy. Już się też nie powtórzą czasy starożytnych niewolnych skrybów, ani średniowiecznych kopistów, nie zaginą rozpoznane przez ludzi arcydzieła — przynajmniej te! — bo druk rozwijający się z każdym wiekiem aż do maszyn rotacyjnych, linotypów, pras drukarskich, wartkotłoczni wieku dwudziestego zaradzi temu skutecznie.

Rewelacyjne odkrycie Gutenberga wniesie w dziedzinę nauki olbrzymią rewolucję. Zniknie pracownia średniowiecznego artysty-pisarza, bo przepisywanie artystyczne ze wspaniałą ornamentyką było nielada sztuką mozołu i dokładności; miejsce jej zastąpi „fabryka pism”, zrazu pojedynczego drukarza, wybijająca jednorazowo nie więcej niż 300 ksiąg, a od XIX w. bezduszna, mechaniczna, o zawrotnie dużym nakładzie dzieł. Cały ten cudowny mechanizm oszczędzający pracę ludzką, jak pisze Chesterton, staje

się najpowolniejszym, gdy się ma przeciwstawić interwencji ludzkiej.[1])

Olbrzymia różnica, zachodząca między klinami asyryjskich cegieł, między pismem średniowiecznych kodeksów i sum a drukiem, zaważy na dalszym rozwoju wgłąb i wszerz ludzkiej inteligencji, odegra wybitną rolę w urabianiu psychologji jednostek i całych warstw kulturalnych.

Tym dziwnie prostym, zewnętrznym symbolem zaklinać będzie każdorazowa współczesność dla przyszłych, szerokich pokoleń dorobek ducha, wykwint myśli, wypracowanie doświadczeń. Druk — jak pisze prof. Bystroń[2]) — przyjdzie z pomocą pamięci ludzkiej. Młode pokolenia po całkowitem przyswojeniu sobie dorobku naukowego poprzedników rozszerzą i pogłębią wiedzę, precyzując, nadadzą jej realną wartość o głębokiem społeczno-politycznem znaczeniu.

Znikną z ziemi chodzące encyklopedje. Po okresie polihistorów, siłą wypadków, musi nastąpić podział pracy, czasy specjalistów, niestety i wyrobników naukowych. Nauka od odkrycia Gutenberga przestanie być tajemnicą ścisłego koła duchownych, szkoły dobranych uczniów z mistrzem na czele. Nastąpi wzmożone rozpowszechnienie książki aż do dzisiejszej ery odbitek, ekspansji żywych, racjonalnie zorganizowanych — (lecz bez naukowej atmosfery) bibljotek, era prasy i dziennikarstwa.

---

fr. Albin

DWIE ROCZNICE

Przeszłość... — Pojęcie to ma dziwną moc. Potrafi ono wywołać w umyśle Polaka wspomnienia zwycięstw sławnych i klęsk bolesnych, wypraw do bram Kijowa i pod mury Wiednia, zmagań z naporem krzyżackim i triumfów nad potęgą otomańską; wizję Polski — przedmurza chrześcijaństwa, Polski — semper fidelis, Polski — piastunki wolności, Polski zakutej w kajdany, z mieczem zatopionym w sercu, Polski — zda się — konającej i Polski na nowo budzącej się do życia. Pamięć na przeszłość Polski dodawała sił ojcom naszym do znoszenia ciężkiej niewoli, stwarzała bohaterów i męczenników za sprawę narodową, rozpalała powstania, niecіła odwagę, a w chwilach krytycznych broniła od rozpaczy.

---

[1]) „Kula i Krzyż".
[2]) „Człowiek i książka".

Pozostała ona drogą sercu Polaka i nadal pozostanie, pomimo że znaleźli się tacy wśród Polaków, którzy nie wahali się przedstawiać pewnych okresów przeszłości naszej w czarnych tylko kolorach; którzy mieli odwagę znęcać się nad ojczyzną bardziej niż jej wrogowie, i zatruwać młode dusze sceptycyzmem patrjotycznym. By zaś podkreślić znaczenie ideowe przeszłości, każdą rocznicę z różnych epok dziejów naszych obchodzili ojcowie nasi jak swego rodzaju święto narodowe, czerpiąc ze wspomnień przeszłości naukę i przeświadczenie, że — jak mówi Zagłoba — „niemasz takowych terminów, z którychby się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można”. Ale i teraz przeszłość nasza — jakkolwiek mamy już ojczyznę wolną i silną — godna jest tego, by ją w chwilach odpowiednich na pamięć przywodzić, by wielkim mężom oddać hołd i uczyć się od nich, jak należy ojczyznę kochać i dla niej pracować.

* * *

Właśnie w tym roku przypadają dwie rocznice wydarzeń, które stanowią punkt zwrotny w dziejach naszych (szczególnie pierwsze) i zamykają najświetniejszy okres historji ojczyzny naszej. Bo 550 lat temu w 1386 r. odbyła się koronacja Władysława Jagiełły na króla polskiego — a w 200 lat później umarł w sile wieku, syt sławy, ale pełen młodzieńczego zapału i wielkich planów wojennych, inny król — Stefan Batory.

W Krakowie otrzymuje pomazanie królewskie Olgierdowic, założyciel potężnej dynastji Jagiellonów; w Grodnie umiera ostatni król — cudzoziemiec, wojownik i wódz na wielką skalę [1]), godny następca gospodarnych Piastów i dzielnych Jagiellonów; ostatni król — cudzoziemiec, dla którego Polska stała się ojczyzną, który tylko dla niej pracował.

Jagiełło to naprawdę ulubieniec losu. On otrzymuje godność wielkoksiążęcą, jakkolwiek ma sześciu braci starszych od siebie. Odnosi zwycięstwo nad Kiejstutem i Witołdem. On staje się przedmiotem zabiegów panów małopolskich. On wreszcie, a nie Witołd — mimo wyższości umysłowej — otrzymuje rękę świątobliwej i pięknej córy Andegawenów a z nią koronę; doprowadza do unji Litwy z Polską i zyskuje sobie przed całym chrześcijańskim światem sławę apostoła ostatniego ludu pogańskiego w Europie i pogromcy wrażej potęgi krzyżackiej. A Witołd, ten litewski Na-

[1]) Batory jest ostatnim cudzoziemskim królem i wielkim wojownikiem, gdyż następnych królów-cudzoziemców, wyjąwszy Władysława IV za takich uważać nie możemy.

poleon — jak go nazywa jeden z historyków [1]) — musiał się zadowolić czapką wielkoksiążęcą, chociaż pragnienia korony wyrzekł się dopiero na łożu śmierci.

Panowanie Jagiełły to okres ekspanzji polskości na wschód, zwycięstwo slawizmu nad germanizmem, zwycięstwo idei braterstwa narodów, to podwaliny pod Polskę mocarstwową, to początek rzeczypospolitej szlacheckiej. Za Jagiełły bowiem dochodzi do wzrostu znaczenia możnowładców a osłabienia władzy królewskiej. Przez szerokie przywileje nadane szlachcie monarchja zaczyna powoli zamieniać się w republikę „cnotą stojącą", której los zależał nie od prawnych instytucyj, ale od patrjotyzmu ludzi rej wodzących; nie od zakazu lub nakazu prawa, ale od czynów dobrowolnych i wielkich [2]), stanowiąc przez pewien okres jedyny może w dziejach świata przykład państwa praworządnego bez praw.

Wygasła dynastja Jagiellonów, ale nie zaginęła polityka przez nich prowadzona; nie przepadła myśl o Polsce potężnej, od morza do morza, bo znalazł się mąż, który potrafił dzieło swych poprzedników poprowadzić dalej, a mężem tym — Stefan Batory.

Ten książę siedmiogrodzki, to charakter niepospolity, wódz genjalny i bystry polityk, a przytem znawca ludzi niebywały. W sytuacjach politycznych orjentuje się równie szybko jak na placu boju. Jako „syn narodu konstytucyjnego" nie dąży do obalenia konstytucji, która wytworzyła się za dynastji Jagiellonów; rozumie, że nietylko absolutyzm jest dobrą formą rządów, ale staje na straży prawa, którego zawsze przestrzega.

Urodzony syn Marsa porywa burzliwą szlachtę w wir zwycięskich wojen z Moskwą, roznieca wojenny zapał rycerstwa polskiego, uwalnia Polskę od przewagi Moskwy, którą odsuwa od morza Bałtyckiego. Ale na tem nie poprzestaje. W umyśle jego rodzi się olbrzymi plan kampanji przeciw Turcji. W porozumieniu z Filipem II, papieżem Sykstusem V, Moskwą, Wenecją, Florencją, a nawet Persją i Abisynją [3]) ruszy na potęgę półksiężyca. Ale najpierw trzeba podbić lub unją z Polską połączyć Moskwę. A na wszystko trzeba zgody i pieniędzy szlachty. Z dziwną jednomyślnością i hojnością uchwalają sejmiki porwane królewskim entuzjazmem jego żądania, już wszystkie konieczne warunki — zda się — są spełnione, gdy wtem nagle król umiera!

Śmierć przerwała mu budowę gmachu Polski silnej i rząd-

---

[1]) Szujski: Dzieje Polski, t. II, Lwów 1862.
[2]) Szujski: Dzieje Polski, t. II, Lwów 1862.
[3]) Marco d'Aviano. Eine Festschrift, Wien 1933.

nej, którą z tak dobrym skutkiem i powodzeniem — chociaż nie bez trudności i oporu ze strony szlachty — rozpoczął. Śmierć przeszkodziła mu zatknąć krzyż w miejsce półksiężyca na Hagia Sofia i uwolnić na zawsze Polskę i Europę od fanatycznych hord azjatyckich. — „I tak praca dziejowa Stefana Batorego pozostała w historji jak złamana kolumna, jak berło olbrzyma, którego nikt po śmierci właściciela podnieść nie umiał" [1]).

Prawda — ale potomność umiała ocenić zalety króla i trud podjęty dla dobra ojczyzny; umiała ocenić zasługi wojenne i pracę pokojową; nie wzięła mu za złe, że nie chciał być królem malowanym; że nie chciał patrzeć przez palce na gwałcenie prawa; że nie pozwolił się lekceważyć, — wdzięczną pamięcią otoczyła jego imię i sprawdziło się to, co jeszcze żyjącemu przepowiedział Jan z Czarnolasu, że go „z Bolesławy równo Polska kłaść będzie" [2]).

* * *

Jeden tylko z królów polskich cieszy się faktycznie przydomkiem „wielkiego". Dowodziłoby to, że Polakom najbardziej odpowiada i największe uznanie znajduje praca pokojowa. Z tego jednego faktu można poznać pokojowy charakter Polaków. Ale, jeżeli jeszcze komu, to z pewnością tytuł ten możnaby przyznać Jagielle i Batoremu. Praca nad organizacją wewnętrzną państwa, podniesienie oświaty, wzmocnienie katolicyzmu, nawrócenie Litwy, jej unja z Polską, zwycięstwo grunwaldzkie, pogrom Moskwy, nawrócenie Żmudzi, utrwalenie mocarstwowego stanowiska Polski w Europie — to czyny godne wawrzynu; czyny, jakich niewiele znajdziemy w historji naszej; to tytuł do prawdziwej, nieśmiertelnej wielkości.



[1]) Szujski: Dzieje Polski, t. III, Lwów 1864.
[2]) Pieśni, ks. IV: Dryas zamechska.

br. Abel

Modlitwa żeglarzy

Z zasiąkla[1]) portu wychynął na morze
rybacki kuter, skrzydlaty żaglami,
wiodły go cudne, lazurowe zorze,
pieściły burtę zefirowe piany.
A był wschód słońca —
Na morskiej toni gra kaskadą barw
promyk wesoły, pierwszy zwiastun dnia,
a morze szumi, faluje bez końca,
wstrząsane płetwą podgłębinnych larw.
Na rufie barki stanęli żeglarze,
głowę odkrywszy, mówią zgodnym chórem
modlitwę ranną, a skupione twarze
zwracają w niebo; tam za lotną chmurą
Bóg Ojciec losy barki na swej dłoni waży.
„My w Twoją ufni potęgę,
w Twoją wpatrzeni twarz
wierzym: spokojem usidlisz pian wstęgę,
dasz łów obfity, Boże, Ojcze nasz!
Głosem wołamy wśród tych wód bezmiaru
serdecznej prośby, biegniem pod Twej pieczy płaszcz:
wśród wód obszaru zachowaj barkę, Boże, Ojcze nasz!“
Chwieje się barki burta,
modli się śmigły maszt,
głos korny bije o niebieską furtę:
Zmiłuj się, zmiłuj, Boże, Ojcze nasz!



[1]) Przestrzeń wody zewnątrz koryta rzeki lądem dokoła otoczona.

fr. Florjan

O UMARTWIENIU

Grzech pierworodny zepsuł w człowieku harmonję władz i naturę uczynił skłonniejszą do złego. Obowiązkiem przeto każdego człowieka jest ujarzmić władze niższe, poddając je pod panowanie rozumu i woli. Drogą do tego jest umartwienie. Polega ono na „walce ze złemi skłonnościami, aby je poddać woli, a wolę Bogu" [1]).

Dzisiejszych ludzi rażą „średniowieczne" umartwienia fizyczne. Chętnie podkreślają oni, że jedynie umartwienie ducha ma swą wartość i decyduje o świętości. Jako dowód prawdziwości swego twierdzenia przytaczają św. Teresę od Dzieciątka Jezus, św. Franciszka Salezego, „kulturalnego", jak mówią, Świętego. Również i z Pisma św. przytaczają cytaty na dowód, że umartwienie duchowe, a nie zewnętrzne, decyduje o prawdziwej pokucie i doskonałości, np. tekst: „Ofiarą dla Boga duch skruszony..." [2]) Zapatrywanie bardzo słuszne. Bo i cóż pomogą posty, pielgrzymki, biczowanie, ofiarowanie darów na ołtarzu, jeśli ktoś chowa nienawiść w sercu do brata? To umartwienie duchowe jest rzeczywiście czynnikiem decydującym. Polega ono na poskramianiu wad duchowych: miłości własnej, uporczywości w obronie swego zdania, lekceważenia drugich, próżności, rozprószenia, drażliwości i wielu im podobnych. Prawdą to jest, co mówią, że takie umartwienie ważniejsze jest niż umartwienie ciała, lecz z tej prawdy błędne ciągną wnioski. Pod pozorem umartwień duchowych gardzą umartwieniami zewnętrznemi — wszak to przestarzałe praktyki dla nowoczesnego człowieka! To niedocenianie wiele w sobie kryje błędów i zgubnych następstw.

Po pierwsze, umartwienie fizyczne jest łatwiejsze niż duchowe, trzeba zatem postępować od mniejszych rzeczy do większych. Następnie, człowiek jest cielesny i do zmysłowości skłonny, należy więc wadom zmysłowym przeciwstawić tego samego rodzaju środki zaradcze — umartwienie zmysłów. Dalej, różne wady, popędy i nawyki zmysłowe, rozpatrywane jako przeszkody w dążeniu do doskonałości, nie są ani mniej liczne, ani mniej groźne niż wady duchowe. Ktoby więc zaczął pracować nad urabianiem charakteru w dążeniu do świętości od umartwień duchowych, zostawiając na później pracę nad opanowaniem zmysłów, tenby wogóle jeszcze tej pracy nie zaczął. Również i w Piśmie św. niemało mamy miejsc podkreślających wielką wartość umartwienia zewnętrznego. Wszak Jan Chrzciciel, o którym mówi Chrystus, że między narodzonymi z niewiast nie powstał większy nadeń, zawdzięczał przedewszystkiem ostrości swego życia to wielkie uznanie świętości. Widzimy również, jak Prorokini Anna w modlitwie i poście służy Panu i za to otrzymuje łaskę oglądania Zbawiciela. Żaden ze

---

[1]) Ad. Tanquerey, *Zarys teol. ascet. i mist.* Kraków, 1928.
[2]) Ps. 50, w. 19.

świętych, na szczytach nawet doskonałości, nie przestał praktykować umartwień zewnętrznych. A powoływanie się na św. Franciszka Salezego, czy św. Teresę, czyż nie jest chybione? Przecież tak św. Teresa jak i św. Franciszek Salezy żywią prawdziwą cześć i głęboki podziw dla wielkich mężów pokuty.

Można się zgodzić, że sposób i jakość umartwień, ze względu na bezsprzecznie zmienione warunki życia, trzebaby niejednokrotnie zmienić, ale nigdy nie można ich spychać na podrzędne miejsce. Umartwienie ciała będzie zawsze środkiem niezbędnym w zdobywaniu świętości. — Stąd konieczną jest praca nad ujarzmieniem zmysłów i zawsze bardzo szerokie otwiera się pole do stosowania umartwień zewnętrznych.

Powiedzenie więc: „ jeżeli mało jest świętych, to dlatego, że mało jest umartwionych”, uważać trzeba za więcej niż słuszne i to odnośnie do umartwień nawet czysto zewnętrznych.

Ks. Alojzy Sierzęga

W klasztorze OO. Kapucynów w Krakowie

Zbieg okoliczności zrządził, że w drodze z Zakopanego musiałem się zatrzymać na kilka dni w Krakowie. Zamieszkałem w klasztorze OO. Kapucynów. Prowincjał O. Czesław Szuber, aczkolwiek zajęty, raczył poświęcić mi kilka chwil i oprowadzić po klasztorze. — Ach, te nasze klasztory, to prawdziwe perły! Niby do siebie podobne, ale jakże się różnią. Tu cię uderzy jakiś napis, tam ołtarz cudowny, gdzieindziej ambona, konfesjonał, portret — wszędzie jakaś nowość. — Ale wróćmy do klasztoru OO. Kapucynów w Krakowie. Już u furty klasztornej zwraca uwagę napis: „Jałmużnę ubogim wydaje się we środę”. I czy to nie jest napis paradoksalny? Ubodzy ubogim jałmużnę wydają!

— A iluż tych ubogich zgłasza się po jałmużnę?

— Czasem po kilkuset — mówi O. Prowincjał.

— No, to średnia przyjemność. — I każdemu trzeba coś dać?

— Naturalnie! Czasy ciężkie, bezrobocie. Wiele nie możemy, ale zawsze coś...

Idziemy na przybudówkę. Hola! Stop! Co to za przybudówka?

— Ano — tłumaczy O. Prowincjał — dobudowaliśmy do starych murów nowe i to dwa razy większe.

Tak, rzeczywiście nowa budowa, korytarze szerokie, posadzka lśni czystością, na ścianach portrety. Poznaję portret O. Augustyna Watrasa, rodaka z Trzebosi. Na ścianie korytarza wisi jakaś mapa. Czytam: Mapa Prowincji. Ho, ho — ciekawa rzecz!

— A gdzie to takie mapy robią?

— To nie jest mapa kupiona — objaśnia O. Prowincjał — ale zrobiona tu, w klasztorze, przez jednego z naszych.

— No, wiecie, założyłbym się, że to nieprawda. Tak misternie wykonana.

— Proszę, zobaczymy teraz archiwum.

Wchodzimy. Pokój czysty. Otwierają się potężne szafy, i następują objaśnienia. Tu są akta konwentu krakowskiego, tu albumy klasztorów, w tym przedziale akta osobiste, a w tamtym rozmaite formularze. — Cacko wzorowo utrzymane.

— A to co za przyrząd?

— Powielacz. (Maszyna do powielania pisma). A może ksiądz zechce zobaczyć nasze łazienki?

To mi się niebardzo uśmiechało, bo wiem z doświadczenia, że w łazienkach domowych to zawsze ni tak, ni siak. Brudna wanna, pełna rupieci, a nad nią zwykle zepsuty tusz. No, ale co robić. Jak proszą, trzeba iść. Spotkał mię zawód na całej linji. Wanny czyściuteńkie, posadzka też, tusze doskonale działają (co zresztą sam na sobie zbadałem). Obok mniejsze zbiorniki na półkąpiele. Nie komfort, ale celowość i nadzwyczajna schludność. Część klasztoru, którą właśnie zwiedzamy, stanowi osobne skrzydło. Mieści się tu Kurja prowincjalska. Tu jest właśnie to miejsce zaciszne, sanktuarjum Prowincji. Tu O. Prowincjał rozmyśla nad dalszemi planami. A ma ich dość. Jego to dziełem jest rozbudowa konwentu. To, co już zrobiono, przerasta siły przeciętnego człowieka. Znać rękę dobrego i rozumnego gospodarza.

— Jakżeż się mógł O. Prowincjał odważyć na taką budowę? A fundusze skąd?

— Ha! mój księże, żeby czegoś dokonać, trzeba to najpierw ukochać, a potem zdać wszystko na wolę Bożą. A skąd fundusze? Stamtąd! i wskazał ręką wgórę.

Tak, tak — pomyślałem sobie — gdyby to tak wszyscy myśleli, gdyby ufali więcej Bogu a nie sobie, to możeby więcej zdziałali.

— A może teraz ksiądz zechce zobaczyć, jak mieszkają nasi Ojcowie i klerycy?

— Z przyjemnością, proszę prowadzić.

Otwieramy cele i widzimy bardzo celowe urządzenia. Następnie zwiedzamy bibljotekę, kuchnię, która równocześnie ogrzewa i rozprowadza wodę do łazienek. Przez okno jednego z korytarzy rzuciliśmy okiem na małe podwórko, gdzie jest urządzenie do gier sportowych, a zimą ślizgawka. Inne podwórko zasadzone jest kwiatami, ozdobnemi krzewami i zasiane trawą. Brat ogrodnik uśmiecha się, jak św. Franciszek, do różnokolorowych kwiatuszków. Trzeba tu nadmienić, że konwent krakowski rozbudował się nietylko materjalnie ale i duchowo. Otworzono własne studjum teologiczno-filozoficzne, powołano profesorów, młodzież kształci się u siebie. Jest to wielki przełom w dziejach konwentu krakowskiego. Historyk musi położyć palec na kartach kroniki tego konwentu z lat 1927—1933 i przyznać, że stanowią one dla siebie odrębną całość, że jest to chwila epokowa w dziejach Zakonu OO. Kapucynów w Polsce odrodzonej.

OO. Kapucyni, wierni swemu posłannictwu w dziejach Narodu, jakby pod tchnieniem świetlanych postaci z niedalekiej przeszłości, stanęli jeszcze mocniej w wolnym już Krakowie, aby stąd promieniować aż hen na wschodnie i zachodnie rubieże.

Pod szarym ich habitem biło zawsze nietylko serce św. Franciszka, ale i serce polskie, które cierpiało, lecz nie rozpaczało, tuliło do siebie szeregi powstańcze, szło na Sybir, aby tam konać w powolnej męce, ale zawsze z wiarą, że Ojczyzna nie zginęła, że kiedyś wybije dla niej godzina zmartwychwstania. I jakże tu nie ukorzyć się przed majestatem męczeństwa tych Synów św. Franciszka, jakże nie wymienić bodaj kilka nazwisk? Oto one: O. Inocenty Bieliński głosi w roku 1863 kazania patrjotyczne, czem ściąga na siebie rewizję policji rosyjskiej; O. Karol Chodkiewicz, O. Stanisław Dąbrowski, Brat Aleksander Fijałkowski, subdiakon Gerard Filipowski, O. Edmund Teofil Grabski i wielu innych idą na Syberję za sprawę narodową. A O. Agrypin Konarski ginie na szubienicy. W r. 1867 już po powstaniu O. Eugenjusz Lenczuk, według raportu policji rosyjskiej, rozpowszechnia wieści w Warszawie o bliskiem zmartwychwstaniu Polski. Powszechnie jest znane nazwisko O. Prokopa Leszczyńskiego, świątobliwego kapłana, dzielnego apostoła, autora zgórą 90 dzieł i męczennika za sprawę narodową. Mam przed sobą czasopismo „Ilustracja Polska" z 23 stycznia 1903 r. W tym to roku umiera zakonnik, wódz powstania, O. Wacław Nowakowski. Starsza generacja napewno go pamięta. „Ilustracja Polska" w poświęconym mu nekrologu tak pisze: „Zakonnik ten, ks. Wacław Nowakowski, trzymał w roku 1863 w swojem ręku nici całego powstania na Litwie i Podolu, spełniał niebezpieczne misje, lekceważąc życie".

Te to zewszechmiar czcigodne, świetlane postaci, i wiele im podobnych, wyszły z Zakonu OO. Kapucynów; a niektóre z nich wprost z pośród murów krakowskiego konwentu.

Z powodu braku miejsca musimy w niniejszym numerze pominąć dział muzyczny, mimo zobowiązań.

MIGAWKI

ZE ŚWIATA

— Ludność Paragwaju aż rewolucją musiała się bronić przeciw zalewowi żydowskiemu. Filosemicki rząd obalono.

— W połowie lutego Bułgarję, Turcję i Grecję nawiedziły olbrzymie burze śniegowe. Zginęło kilkaset osób. Straty materjalne są olbrzymie. Amerykę nawiedziły ostatnio katastrofalne mrozy i huragany śnieżne. W stanie Wisconsin kilkumetrowe śniegi uniemożliwiły komunikację.

—Protestanci amerykańscy chcą wrócić na łono Kościoła Katolickiego. Oświadczenia swe w tej sprawie skierowali do Wa-

tykanu. Jako motyw podają rozluźnienie się moralno-kulturalne kościołów protestanckich.

—Obecne władze Hiszpanji zakazały w wielu miejscach odprawiania pogrzebów katolickich, a komuniści znów dopuszczają się barbarzyńskich wybryków względem Kościoła.

— Duchowieństwo katolickie w Betleem skarży się na nietaktowne zachowanie się Żydów wobec miejsc świętych. Władze brytyjskie wszczęły dochodzenia.

— Episkopat meksykański wysłał gorącą podziękę duchowieństwu Europy i Ameryki za pomoc na rzecz meksyk. katolików.

— Księża Salezjanie zakładają w Pradze nową placówkę.

Z POLSKI

—Zakaz uboju rytualnego przechodzi już w stadjum realizacji. Żydzi jednak nie dają jeszcze za wygraną i czynią rozpaczliwe wysiłki, by nie utracić źródła olbrzymich dochodów.

— 16-tą rocznicę zaślubin Polski z morzem urządziła Liga morska i kolonjalna liczne akademje i odczyty.

— Akcja młodzieży akademickiej za obniżeniem opłat uniwersyteckich odniosła pożądany skutek.

— Listonosze polscy protesują przeciw obowiązkowi roznoszenia listów w niedziele i święta. Przeciw temu są jak zw. Żydzi.

— W miejsce zmarłego P. Choynowskiego członkiem Pol. Akad. Liter. obrano powieściopisarza Ferdynanda Goetla.

— Emer. Wizytator szk. Win. Ogrodziński, prof. naszego gimn. w Krakowie, wejdzie do Rady m. Krakowa na miejsce K. H. Rostworowskiego, który rezygnuje dla złego stanu zdrowia.

— 14-tą rocznicę koronacji J. Świątobl. Piusa XI uczczono u nas licznemi nabożeństwami, odczytami i akademjami.

— Wśród kat. młodzieży akad. daje się zauważyć zdrowy odruch przeciw usuwaniu krzyży z sal wykładowych polskich uczelni.

Sprawozdanie „Sekcji Misyjnej” kleryków OO. Kapucynów w Krakowie

W myśl słów Boskiego Zbawiciela: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało”, jak również idąc po myśli encyklik „Maximum illud” i „Rerum Ecclesiae”, powstała w gronie kleryków krakowskich t. zw. „Sekcja Misyjna”. Powstanie jej datuje się od dnia 6 lutego b. r., t. j. od chwili spisania członków, wyboru zarządu i uchwalenia statutu. Statut przejrzał i zatwierdził Przew. O. Prowincjał.

Celem „Sekcji” jest:

a) współpraca misyjna, przedewszystkiem duchowa, w myśl słów Boskiego Żniwiarza: „Proście tedy Pana żniwa, aby wysłał robotników do winnicy swojej”,

b) zapoznanie się z misjami wogóle, a specjalnie z misjami naszego Zakonu,

c) budzenie i pielęgnowanie powołań misyjnych.

Jako środki do osiągnięcia tego celu posłużą zebrania miesięczne z odpowiedniemi referatami i dyskusją. Nadto „Sekcja Misyjna” będzie się starała prowadzić jaknajszerszą korespondencję z innemi „Kołami”.

fr. Zbigniew a Blizne
sekretarz

fr. Peregryn a Mikołów
prezes

Echo „Koła Misyjnego” studentów rozwadowskich

Apel „Sekcji Misyjnej” kleryków krakowskich, zachęcający nas do założenia „Koła Misyjnego”, przyjęliśmy bardzo chętnie i natychmiast przystąpiliśmy do jego zrealizowania. Bodźcem do tego kroku była zachęta Przew. O. Dyrektora, który na naszą prośbę przyjął opiekę nad nowopowstałą organizacją.

W dniach 19 stycznia i 4 lutego zebrali się wszyscy członkowie, w celu wyboru zarządu „Kółka”. Prezesem został obrany kol. Stanisław Gustkowicz, sekretarzem kol. Edward Pojnar, skarbnikiem zaś kol. Józef Mielniczuk. Patronem „Kółka” obrano św. Józefa z Leonissy, kapucyna.

Na tem zakończyliśmy ostatnie nasze zebranie. Z radością zabieramy się do pracy, by uprosić u Boga jaknajwięcej łask dla misjonarzy. Postanowiliśmy pracować z myślą, że i my kiedyś będziemy mogli poświęcić się pracy misyjnej.

Edward Pojnar
sekretarz

Stanisław Gustkowicz
prezes

---

1. KONIKÓWKA
(ułożył W...)

Odczytać ruchem konika szachowego piękną myśl moralną.

		bie		
źli	co	cze	sie	dzie
im	sam	lu	cie	go
lecz	wdzą	god	ty	bie
nuj	mów	cię	war	ne
krzy	ci	sza	nie	gdy

2. UKŁADANKA LICZBOWA
(ułożył fr. Fidelis)

0, 0, 0, 1, 1, 1, 1, 1, 1, 2, 3, 4, 5, 5, 6, 6, 6, 7, 8, 8, 8, 9, 9, 9.

Z podanych 24-ech cyfr odczytać daty narodzin i śmierci trzech wielkich polskich poetów.

Rozwiązania nadsyłać do 20 b. m. Za najlepsze rozwiązanie — książka.

Rozwiązania ROZRYWEK z Nr. 2

1. ZAGADKA LITERACKA

Mic- | kiewicz
Sien- |

2. KRZYŻÓWKA

k	a	t			t	u	r
o		o			k		u
t	a	k	a	r	a	k	t
		a			r		
		r			a		
ż	a	k	r	a	k	ę	s
u		a			o		o
r	u	ż			s	ę	k

Nagrodę książkową p. t. „Tarcze Legjonów” za rozwiązanie powyższych rozrywek otrzymał drogą losowania p. prof. Apolinary Despinoix, (Końskie).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. R. Szafarń. ... Doskonale. Zamieścimy. Tylko przy okazji, której narazie brak.

WB. Abiturjent... Wraz ze ślizgawką minął sezon i na artykuł.

WB. Z. R. ... Także artykuł posezonowy.

WB. A. M. ... Z braku miejsca nie zamieściliśmy.

WP. Koć. ... Ujęcie tematu dobre. Forma jednak nie domaga. Zdałoby się lepiej utwór wykończyć.

Materjał do następnych numerów „Wzlotu Serafickiego” uprasza się nadsyłać do 15-go każdego miesiąca. Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach; nadto rękopisów się nie zwraca, chyba na uprzednie i wyraźne życzenie.

Za zezwoleniem Władzy Zakonnej